

Boże, zbaw nas od religii!

27 grudnia 2014

Jednym z najmądrzejszych ludzi, jakich kiedykolwiek spotkałem, był stary turecki Cygan, stajenny w cyrku. Pewnego wieczoru spotkaliśmy się przypadkiem, każdy z nas był ze swoimi przyjaciółmi, w knajpie we wsi nad Bosforem. Jak to często dzieje się w Stambule, połączyliśmy nasze stoliki i piliśmy razem całą noc. Dyskutowaliśmy o religii i polityce, palących problemach w muzułmańskim kraju, który nie tak dawno temu powstał z popiołów imperium otomańskiego, zniósł kalifat i opowiedział się za sekularyzmem.

Stary Cygan nie czynił różnicy między religią i polityką. Jego zdaniem ludzkość dzieli się na dwie grupy: tych, którzy chcą dyktować masom i dlatego garną się do despotów i tych, którzy chcą swobodnie doglądać swoich ogrodów, bez zginania karku przed nikim. A ponieważ i polityka, i religia starają się o władzę nad ludźmi, były dla niego tym samym diabłem z dwiema różnymi – wymiennymi – twarzami.

O świcie, zataczając się, poszliśmy brukowanymi ulicami w stronę morza, żeby popatrzeć na wschód słońca. Stary Cygan, z trudem powstrzymując łzy, wskazał na wyłaniające się słońce. „To jest Bóg, nasza Matka, rodząca nowy dzień!” Ukląkł i nabrał w garść trochę piasku. „Nie zapomnij nigdy: ta garść ziemi zawiera krew tysięcy. Wszyscy zabici w imię jakiegoś Wielkiego Ojca! Ale jak mógł męski bóg zrodzić tę ziemię? I który męski Bóg?” Westchnął i powoli wypuścił piasek z rąk. „A przecież każda religia mówi: „Nasz Bóg! Nasz Pan Wszechświata! Nasz Pan nad wszystkimi bogami!” A żeby to udowodnić, wysyłają nas, byśmy zabijali lub zostali zabici!” Znowu zwrócił się do wschodzącego słońca. „Kiedy więc następnym razem będziesz się modlić do Boga, módl się, by zbawiła nas Ona od wszelkiej religii!”

Choć przeświadczenie starego Cygana o żeńskim Bogu uważałem za

natchnione, przez lata bardziej absorbował mnie jego pogląd na to, co właściwie oznacza religia. Jak z wszystkimi mglistymi pojęciami roztropnie będzie zdefiniować je tak wyraźnie, jak to możliwe. „Oxford English Dictionary” podaje dwie główne definicje:

1. Działanie lub zachowanie wskazujące na wiarę, rewerencję i pragnienie zadowolenia boskiej mocy rządzącej; wyrażanie czy praktykowanie rytuałów lub obrządków na to wskazujących.

2. Uznanie przez człowieka jakiejś wyższej, niewidzialnej mocy, która sprawuje kontrolę nad jego losem i należy jej się posłuszeństwo, rewerencja i religijna cześć; ogólna postawa umysłowa i etyczna wynikająca z tej wiary w odniesieniu do jej wpływu na jednostkę i społeczność; osobista i ogólna akceptacja tego uczucia jako standardu w życiu duchowym i praktycznym.

Na pierwszy rzut oka te definicje dają poczucie ulgi; a co ważniejsze, poczucie wolności od jednostkowego sumienia. Sugerują ponadto, że mamy zdolność postrzegania wszechobecności „boskiej mocy rządzącej” i akceptacji, że jej współczująca obecność będzie nad nami czuwała.

Głębszy namysł jednak szybko rozwiewa to poczucie samozadowolenia. Dręczą nas pewne pytania, proste, i tak stare jak ludzkość. Kim lub czym jest to bóstwo? A jeśli jest on „niewidzialną” mocą, to skąd wiemy, że istnieje? (Używam rodzaju męskiego, ponieważ od kiedy patriarchalne społeczeństwa zawłaszczyły sobie sprawy ludzkości, Bóg był zawsze postrzegany jako byt rodzaju męskiego.)

Dla tych, którzy przyjmują religię, istnieje prosta odpowiedź na te pytania – odpowiedź, która stanowi główną zasadę danej religii i dlatego musi być zaakceptowana jako akt wiary. Stworzenie świata, w którym połączone są wszystkie siły natury – brzmi odpowiedź – jest dziełem, a więc dowodem istnienia tej mocy. A jeśli to nie wystarcza, dalszych dowodów dostarczyli

niezliczeni prorocy, którzy doświadczyli boskiego istnienia przez tajemnicze wizje znane jako objawienia. Czy to bóstwo jest wyobrażalne w postaci ludzkiego mężczyzny (jak w chrześcijańskiej Trójcy), czy niewyobrażalne, choć nadal rodzaju męskiego (jak w judaizmie i islamie), jego obecność jest ciągle odczuwana, ponieważ zawsze stoi przy nas, osądzając nas, nakłaniając do powstrzymania się od grzechu, ale stale nam przebacząc.

Dla tych z nas jednak, którzy nie mogą dokonać takiego aktu wiary – a jestem jednym z nich – te odpowiedzi nie wystarczają. My, „niedowiarki”, widzimy stworzenie świata jako ewolucyjny proces przyczyn i skutków jako zdarzenia, które mają bezsporne – i czasami dające się przewidzieć – wyjaśnienia naukowe. W sposób jeszcze bardziej analityczny patrzymy na objawienia jako na płomienne wizje ekstazy religijnej, w których nadpobudliwa wyobraźnia ascety łączy się z histerią, wzburzeniem uczuciowym lub urojeniami.

Ponadto dla nas, „niedowiarków”, powstaje jeszcze jedno niepokojące pytanie. Jeśli nie możemy zaakceptować istnienia „boskiej mocy” – „najwyższej i niewidzialnej” – dlaczego mielibyśmy wierzyć, że to bóstwo panuje nad naszym losem, i że należy mu się nasze posłuszeństwo, rewerencja i religijna cześć?

No cóż, wielu z nas w to nie wierzy. Chociaż można powiedzieć, że większości z nas wiara w boską moc została wszczepiona w tak wczesnym dzieciństwie, że może się wydawać wrodzona, wkrótce zdajemy sobie sprawę z tego, że właśnie instytucja stworzona wokół postaci bóstwa narzuca nauczanie, iż to bóstwo panuje nad naszym losem i że dlatego musimy oddawać mu cześć. Badania antropologiczne pokazały, że w wielu politeistycznych społecznościach stosunki między ludźmi i ich bóstwami układały się na ogół dość zgodnie, czasami jako praktyczne ustalenia biznesowe, a czasami jako zasadniczy element człowieka, dzięki któremu on lub ona może ustanowić mistyczne, pełne szacunku, choć nieco oszołamiające współistnienie z kapryсами

kolektywnej podświadomości. W momencie jednak, w którym związek ten przechwytyuje pośrednik – instytucja religijna – osobiste dobre stosunki jednostki i jej życia wewnętrznego zostają naruszone.

Instytucja, twierdząc, że jej autorytet opiera się albo na „głębokim zrozumieniu bóstwa”, albo na rzekomo „bezpośrednim”, a więc świętym nauczaniu otrzymanym od luminarzy bóstwa, wywyższa się do statusu reprezentanta bóstwa na ziemi. Od tego momentu to instytucja wymusza posłuszeństwo, rewerencję i religijną cześć nie tylko dla bóstwa, ale także – a może przede wszystkim – dla samej siebie i dla swoich funkcjonariuszy. Przykłady tego obowiązku posłuszeństwa można znaleźć w doktrynie paulińskiej; w całkowitym podporządkowaniu szytów rozkazom duchowieństwa, mianowanego pośrednikami Allaha i w podobnym samowyrzeczeniu się, którego ortodoksyjny judaizm oczekuje od swoich wyznawców przy stosowaniu praw, z których wiele jest archaicznych.

Kiedy instytucja i jej władcy przejmują panowanie nad losem ludzkości, wkrótce ograniczają pojęcie wolnej woli lub, co gorsza, postępującego oświecenia. Nie tylko nie mogą pogodzić się z rozwojem, ale obkładają go klątwą jako herezję. Strategie posłuszeństwa, rewerencji i religijnej czci, jeśli mają okazać się skuteczne, muszą być zorganizowane w taki sposób, żeby dotyczyły każdego człowieka w ich zasięgu, brały pod uwagę ich życie, aspiracje i troski. Takie struktury potrzebują niezliczonych macek; a każda macka musi zajmować się nie tylko przestrzennymi i duchowymi potrzebami ludzi, ale musi się jej także przypisywać autorytet „wyższej, niewidzialnej” mocy – mocy, która musi być wszechwiedząca i niezwyciężona.

Z samej swej natury takich struktur nie może stworzyć pojedynczy człowiek. W skutek tego muszą być one zbudowane jako instytucje oligarchiczne. A taka instytucja dąży do zdobycia pozycji nie tylko nadrzędnej nad ciałami świeckimi i politycznymi, ale także – i to szczególnie – nad innymi

instytucjami religijnymi. Co jeszcze bardziej niepokojące, stara się wywyższyć jako posiadacz „prawdy absolutnej”, a więc nie dającej się naruszyć przez żadne korekty. Dla osiągnięcia tego celu gotowa jest bezlitośnie zmiażdżyć każdą opozycję, jeśli trzeba używając kar naruszających jej pierwotnie łagodną doktrynę. W rezultacie instytucja, rozciągając swoje pozornie nabożne cele do granic, które praktycznie są nieograniczone, stara się rozwinąć jako jedyny i nienaruszalny monolit.

Taką właśnie pozycję starała się osiągnąć każda religia w całej historii – wszechmocnego monolitu. A co jeszcze bardziej niewybaczone, jak w przypadku teokracji, religie starały się zdobyć rządy polityczne jako niekwestionowany i nie odpowiadający przed nikim reprezentant boga, którego można „zobaczyć i osiągnąć” tylko przez rządy kapłańskie. (W naszych czasach uchodźcy z Iranu, którzy uciekli przed rządami ajatollahów, opowiadali mrozące krew w żyłach historie o systematycznych egzekucjach opozycjonistów i intelektualistów. W sytuacjach, kiedy udowodniono, że dany intelektualista jest niewinny przedstawionych mu zarzutów, przewodniczący sądowi ajatollah często oznajmiał, że jeśli oskarżony rzeczywiście jest niewinny, pójdzie prosto do raju i dlatego powinien być wdzięczny reżimowi za zakończenie przed wyznaczonym mu czasem jego marnego życia na ziemi. Historia jest oczywiście pełna podobnych przestępstw popełnianych przez wszystkie religie.)

Chociaż w naturze bezwzględnych jednostek i instytucji leży dążenie do władzy absolutnej, nie zawsze jest to łatwe przedsięwzięcie. Władza absolutna zawsze miała groźnego przeciwnika: skłonność ludzi do samodzielnego myślenia. Ponadto ludzkość jest także obdarzona wewnętrznym poczuciem „naturalnej sprawiedliwości”. (O naturalnej sprawiedliwości można napisać całe traktaty. Tutaj wystarczy powiedzieć, że pojęcie to jest uniwersalne, najprawdopodobniej rodzi się z jego instynktowną, choć jeszcze nie sformułowaną świadomością. Ta świadomość jest zasadnicza dla naszego rozwoju jako istot moralnych; przy założeniu, że indoktrynacja i strach przed

wolnością jej nie wypaczyły. Niektórzy mogą kwestionować to twierdzenie, ale badania psychologiczne niemowląt wykazały, że jeśli niepokoje i brak pewności siebie rodziców nie wpływają na dziecko, rozwinięte ono poczucie moralne. Naturalna sprawiedliwość jest w zasadzie świadomością naszego „etycznego Ja”, które walczy przeciwko niesprawiedliwościom nieograniczonej władzy. W rzeczywistości jest to wrodzona podstawa filozoficzna, która w poszukiwaniu ładu, tworzy zestawy reguł, które stały się podstawą moralności, narzucając się jako przykazania większości religii. W wielu krajach to poczucie sprawiedliwości doprowadziło do proceduralnej praktyki przewidującej dwie główne reguły: 1. wysłuchania oskarżonego; 2. sądenia przez grupę nieuprzedzonych ludzi.)

Tak więc, każda instytucja, która chce zdobyć władzę, musi wypracować strategie pokonania rozumu i obalenia osobistego poczucia naturalnej sprawiedliwości. Co więcej, władza jest molochem; nieustannie musi się sycić. A im więcej pożera, tym bardziej staje się nienasycona. W rezultacie dążenie do niepodważalnej władzy, korupcja, która z tego nieuchronnie wynika, zmusza instytucję do użycia wszystkich środków, by utrwalić swoje istnienie. Tak więc, podczas gdy może się wydawać, że instytucja stoi na straży dobrotliwej moralności – a przynajmniej mówi takim językiem – robi to warunkowo. Warunkiem zaś jest narzucenie wiernym całkowitej uległości dogmatom religijnym, hierarchii, a przede wszystkim danym od Boga, a więc nieskalanym objawieniom jakie, jak twierdzi, posiada.

W pościgu za tym celem kontynuuje upowszechnianie strategii, które bardzo często zmieniają, czy na nowo interpretują, zasady pierwotnie zainspirowane przez naturalną sprawiedliwość. Tworzy doktryny, które stają się coraz bardziej skodyfikowane, coraz sztywniejsze i coraz ciaśniejsze i coraz bardziej autorytarne. W ostatniej instancji tworzy „nienaruszalne” dogmaty, które obalają nasze poczucie moralnego Ja.

Można by sądzić, że te strategie są subtelnie przebiegłe. W rzeczywistości jednak są one na ogół proste: prymitywnie doktrynerskie „prawdy” i „boska moc”, które wykorzystują niepewność jednostki i destabilizują poszukiwanie osobistej prawdy. Ci stratedzy wiedzą bowiem, z odwiecznego doświadczenia, że pierwotny strach o przetrwanie, dezorientacja co do sensu życia i niepewność istnienia życia po śmierci, dają im znakomity punkt oparcia.

Tak oto manipulują oni naszym pragnieniem rozwiązania głębokich, osobistych konfliktów, używając go jako wehikułu do podtrzymania swojej władzy. Ich wiodące zasady zapewnienia wiecznego przeżycia naszych dusz są nieodmiennie licencjami na wzmożoną kodyfikację życia na ziemi i gwarancją stałego i niekwestionowanego rządzenia. Dlatego też potępienie staje się bronią, która grozi dysydentom, a zabieganie o zbawienie ma zastąpić walkę o życie osobiste. Ślepe posłuszeństwo ustanawia się jako definitywne rozwiązanie problemu sensu życia.

W rezultacie większość religii – a z pewnością trzy główne monoteistyczne religie – uczą nas, że nasze życie jest nieważne, że jest tylko próbą czy zasługujemy na wieczne zbawienie, które przyjdzie wraz z Sądem Ostatecznym. Właściwie uczą nas wielbienia śmierci, zamiast życia. Doktryna wiecznej radosnej egzystencji po śmierci, do której tylko sprawiedliwi będą uprawnieni, zatruwa nasze ziemskie życie i propaguje cierpienie jako podstawowy cel, jako usprawiedliwienie istnienia. W skrajnych przypadkach prowadzono politykę godzącą się na wytępienie tak zwanych pogan i niewierzących, aby mogli przez śmierć osiągnąć zbawienie, bo dusze ich miały zostać automatycznie oczyszczone. Hiszpańska Inkwizycja i ludobójstwo Indian w Ameryce Południowej w czasach hiszpańskiego podboju są koszmarnymi przykładami takich zasad.

Dzisiaj wśród chrześcijańskich fundamentalistów w USA istnieje szybko rosnąca grupa, która ma obsesję na punkcie nieuchronnie zbliżającego się zbawienia. Ci wierni pilnie obserwują to, co nazywają „The Rapture Index” (Indeks Zachwytu). Jak donosi Jon

Carrol w „San Francisco Chronicle” z 23.2.2005, ten indeks, „oparty na 45 proroczych kategoriach rzeczy (sic!) takich jak susza, zaraza, powódzie, liberalizm, bestialskie rządy i oznaki bestii” zapowiada powrót Syna Bożego i nadejście Ostatnich Dni – „Zachwytu” – w momencie, w którym indeks przekroczy 145. Wówczas – a miało to nadejść wkrótce, ponieważ w marcu 2005 indeks wynosił 153, co wywołało poradę „zapnijcie pasy” – wszyscy prawdziwi wyznawcy, to znaczy wszyscy godni „Zachwytu” zostaną przeniesieni do Nieba. Będą siedzieć po prawej ręce Boga, podczas gdy reszta ludzkości – a każdy z nich to antychryst – będzie „pozostawiona”, skazana na piekło na całą wieczność.

Pojęcie „pozostawionych” wykorzystywali na przestrzeni całej historii wszyscy głoszący dogmaty w wielu językach. Nie ma tu miejsca na miłosierdzie. Głosi się wieczną szczęśliwość dla wiernych i wieczne potępienie dla całej reszty.

Jak wszystkie instytucje, religie współzawodniczą ze sobą. Ich przetrwanie zależy od liczby – i siły – wyznawców ich doktryny. Im większa owczarnia, tym bardziej mogą być pewni zachowania władzy pokonując wcale niemałe wyzwanie ze strony myśli racjonalnej. W tym celu rozwinęli jeszcze jedną potężną zasadę: ekskluzywność. Tak więc ci, którzy się do nich przyłączają mają „zagwarantowane zbawienie”, a ci, którzy się nie przyłączają będą „pozostawieni” i potępieni. Wyjątkiem aktywnego starania się o nawróconych jest judaizm: wyznawcy tej religii są „zbawieni” przez koncepcję należenia do „narodu wybranego”. Choć wielu Żydów zastanawia się, co ten „przywilej” właściwie sankcjonuje i co zapewnił Żydom, wiara jest niemniej elitarystyczna. A ponieważ elitaryzm jest inną nazwą ekskluzywności, judaizm oferuje podobny syndrom.

Ekskluzywność posługuje się bronią pogardy i nienawiści.

Jako dowód, że otrzymali religię od najwyższego bóstwa – przez co odrzucają argument humanistów, że wszystkie religie rozwinęły się z naszych pierwotnych lęków – instytucje

religijne oczerniają wzajemnie swoje dogmaty jako fantazję, ułudę i fałszerstwo. Dążą do ustanowienia samych siebie jako dostarczycieli „prawdziwej religii”, posiadaczy „prawdy ostatecznej”, wizjonerów, którzy rozpoznali „prawdziwego Boga” i zrozumieli, że jest on „Panem Wszechświata”. Taka pogarda, oznajmiana jako rzecz niepodlegająca wątpliwości, wywiera olbrzymi wpływ. Pomaga jednostce pozbyć się niepewności, uśmierza jej egzystencjalne lęki i destabilizuje rozum.

Jeśli pogarda zawodzi, istnieje jeszcze bardziej trująca broń: nieustępliwa nienawiść skierowana na inne religie, narody, rasy, odłamy, indywidualności. Także nienawiść wobec ludzi o innej orientacji seksualnej. Nienawiść, która jest wykroczeniem przeciwko jednemu z najważniejszych przykazań w Piśmie: „miłujcie cudzoziemca”. (Zwraca uwagę fakt, że to przykazanie nie znajduje się między dziesięcioma przykazaniami, jakie Mojżesz otrzymał na Górze Synaj.) Ta nienawiść zakorzeniona jest w najbardziej paranoicznych częściach naszych świętych tekstów – i w nie mniejszym stopniu w umysłach ich egzegetów. Ta nienawiść dehumanizuje braci i sąsiadów i tworzy podludzi, „innych”, czyniąc ich winnymi wszystkich naszych krzywd w przeszłości i obecnie.

Odwołam się tu do przemówienia, jakie wygłosiłem kilka lat temu w związku z fatwą na Salmana Rushdiego, rzuconą przez jednego z tych „dobrych sług Bożych” ajatollaha Chomeiniego.

Mówiłem w nim o nieopublikowanym artykule psychoanalityka Christophera Heringa, zatytułowanym The Problem of Alien. W artykule tym, analizującym film science-fiction „Alien”, Hering rozprawiał o stanie, który nazywa „faszyzmem emocjonalnym”. Stawia on tezę, że jeśli jakaś siła może zostać zmitologizowana jako zagrażająca życiu lub, co gorsza, arcywrog zagrażający całej ludzkości, to psychotyczna fikcja może udawać obiektywną prawdę. Następnie najbardziej niszczycielskie impulsy – do których czulibyśmy odrazę w każdej innej okoliczności – będą tolerowane, wręcz podtrzymywane jako środki zbawienia. Z tego samego powodu

zostaną odrzucone wszystkie uczucia takie jak współczucie, troska, wątpliwość, zakaz. Tak więc idea unicestwienia uzyska sankcję do rozwinięcia się w usprawiedliwiony cel, wręcz w imperatyw moralny.

Psychotyczna fikcja jako prawda obiektywna jest właśnie tym, co często wykorzystywały instytucje religijne – a za ich przykładem pozbawieni skrupułów politycy. Stworzyli ciągłą opowieść, w której inne narody i rasy przedstawione są jako istoty bezduszne, bezmyślne, z jedną tylko wizją: wewnętrznym przymusem zniszczenia „naszych wartości i stylu życia”. Dlatego też twierdzą oni, że tych ludzi trzeba ujarzmić – wręcz wytępić – dla zbawienia nie tylko wyznawców danej religii, ale samej ludzkości.

Niewątpliwie moje generalne potępienie instytucji religijnych wywoła silny protest. Wielu czytając te słowa, będzie argumentować, że istniały liczne ruchy w każdej religii, które nie tylko starały się o wprowadzenie reform, ale także starały się o pokojowe współistnienie z innymi wiarami. (Na przykład: zwołanie przez papieża Jana XXIII Drugiego Soboru Watykańskiego; działająca dzisiaj żydowsko-amerykańska organizacja Tikkun – co znaczy „uleczyć” – która pod przewodnictwem rabina Lerner'a głosi Uniwersalną Duchowość i, oczywiście, nauczanie sufizmu o pełnej unii z Allahem, które przez stulecia przeciwstawiało się muzułmańskiemu fundamentalizmowi.) Równie ważne jest to, że każda religia wydała niezliczonych niezwykłych ludzi, którzy bezinteresownie trudzili się – często kosztem własnego życia – by poprawić warunki życia innych.

Nie zaprzeczam tym faktom. Byli ludzie religijni, którzy przedkładali wartości humanitarne nad ślepa akceptację dogmatów. Ale los tych ludzi wspiera mój argument.

Bowiem prędzej czy później ci ludzie i ich ruchy reformatorskie są spychane na margines przez konserwatywny trzon oligarchicznych władców ich establishmentu. Trzon składa

się z osób, które – żeby użyć starego porzekadła sowieckiego politbiura – mają „solidne plecy”, czyli podwładnych na ważnych i wpływowych stanowiskach, którzy dzięki przekonaniom ideologicznym lub dla osobistego zysku przysięgli lojalność swojemu patronowi. Chociaż te „plecy” nie są ani jednolite, ani stabilne ze względu na własne wewnętrzne konflikty, niemniej na ogół opanowują swoje ambicje w celu zachowania status quo, który zapewnia im przetrwanie. Taka jest faktycznie siła zakorzeniona w tych oligarchicznych strukturach, że dysydenci i innowatorzy albo zostają w końcu zdyskredytowani, albo są zmuszeni do działania jako odizolowane głosy bez żadnego wsparcia. (Reformy papieża Jana XXIII wsiąkły jak nagła ulewa na pustyni z powodu konserwatyzmu jego następców, włącznie z Janem Pawłem II. Niezależnie od tego, jak dzielne są wysiłki Tikkun, jego kampanie stoją poza głównymi nurtami teologicznymi. A fundamentaliści islamscy brutalnie prześladują nauczanie sufistów o pokojowej duchowości.)

Ponadto, kiedy nowi członkowie instytucji religijnych próbują ruchów prowadzących do zmiany w kierunku bardziej radykalnych aspiracji, niemal zawsze neutralizuje ich to, co filozof polityki Robert Michels nazwał dawno temu „żelaznym prawem oligarchii” [1], stan umysłów, dzięki któremu organizację kontroluje mała grupa używająca tej kontroli dla dbania o interesy własne, a nie o interesy członków organizacji. Reformiści, wciągani początkowo do hierarchii instytucji jako niezbędni innowatorzy, stopniowo stają się nieskuteczni w biurokratycznym grzęzawisku instytucji. Kiedy zdają sobie sprawę z tego, że ich żywotność zużyto do umocnienia władzy oligarchii, albo stracili już swój początkowy rozmach albo swoją wiarygodność; następnie albo popadają cicho w zapomnienie, albo stają się tym, co kiedyś było dla nich obmierzłe – konformistycznymi filarami establishmentu.

Jeśli zaś chodzi o bohaterów religii – męczenników i świętych wyniesionych na ołtarze – to są oni być może najbardziej

eksploatowani przez instytucje religijne. Mimo że przedstawia się ich jako wcielenie prawości, używa się ich tak, jak armia wykorzystuje żołnierzy – można ich spisać na straty jeśli tylko ich poświęcenie utrzymuje ich instytucję przy władzy. Co więcej, uwielbienie, jakim się ich obdarza, ma jeden główny cel: zapewnienie instytucji dopływu świeżej krwi; ich bohaterskie ofiary mają stanowić inspirację dla męczenników, którzy będą potrzebni w przyszłości. (Przykładów jest wiele – zamordowani księża teologii wyzwolenia w Ameryce łacińskiej, szkalowani za życia przez własne kościoły, są teraz uważani za naśladowców Chrystusa; samobójcy-terroryści islamu i ultraortodoksyjni osadnicy izraelscy na Wschodnim Brzegu są wysławiani jako obrońcy własnych odłamów wiary.)

Niemniej pozostaje pytanie: jeśli odwrócimy się plecami do religii, gdzie znajdziemy kotwice, tak potrzebne duchowi ludzkiemu?

Nadrzędne jest oczywiście to, że niezbędne nam są świeckie państwa, które nie płaszczą się przed żadną religią. Mówię to w pełni świadomy, że także świeckie państwa padają ofiarą „żelaznego prawa oligarchii”. Ale świeckie państwa przynajmniej dają jednostce wolność odzyskania relacji z Bogiem jako głęboko osobistej komunikacji, która wyewoluowała z etycznego „Ja”.

Jeśli mogę, to chciałbym wyjść poza to, co niezbędne i przedstawić tęskne marzenie.

Wierzę żarliwie w płciowość, która wiąże ciało i ducha. Na koniec muszę zwrócić uwagę na głęboki antagonizm wobec pożądania seksualnego, a szczególnie wobec kobiet, propagowany przez niemal wszystkie religie.

Kobiety są dla religii „innymi”. Trzy monoteistyczne religie wyłączają je z wszystkich praktycznie spraw ludzkich. Niektóre frakcje uważają je za nieczyste i niedotykalne poza celami prokreacji – jedynym ich „pożytkiem” – i nie zasługujące na

miejsce w rodzinie człowieczej. Wyjątki, których przykładem jest Lady Macbeth, są „bezpłciowe” kobiety, które upodobniły się do mężczyzn – takie jak mityczne Amazonki, które obcięły sobie piersi, żeby lepiej władać łukiem i strzałami. Jest to oczywiście ostateczna ekskluzywność wizji patriarchalnego społeczeństwa niezmiennych dominujących norm.

I stąd moja tęskna modlitwa.

Pora już, jak oznajmił mój stary przyjaciel Cygan w Stambule, poczuć Boga jako żeńską siłę w każdym z nas. Pora uwolnić się od zatrutego nauczania patriarchalnych religii. Pora szukać społeczeństwa, w którym męskość i żeńskość przedstawiane są jako współtwórcy. Pora czcić życie zamiast śmierci i wykroczyć – jak to pisze Fernando Pessoa w książce „The Book of Disquietude” – „poza Boga, by znaleźć tajemnicze i głębokie Dobro”. Tym „tajemniczym i głębokim Dobrem” może być tylko nasza kobiecość uwięziona i przykuta łańcuchami.

Autorstwo: Moris Farhi

Tłumaczenie: Małgorzata Koraszewska

Źródło oryginalne: książka pt. „Free Expression is No Offence”

Źródło polskie: [Listy z naszego sadu](#)

PRZYPIS

[1] Patrz teksty w internecie pod „the iron law of oligarchy”.